Ner 8. Kraków, dnia 16go Kwietnia 1875. Rok VII.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. S, Rudolfa bisk.	21. S. Anzelma bisk.
18. N. Op. ś. J. Apolon.	22. Sotera i Kaja.
19. P. Wernera.	23. P, Wojciecha arc.
20. W. Agnieszki.	24. 7. Jerzego męcz.

Adres: Do redakcyi „Włościanina“ Plac Dominikański, Ner 486, III. piętro.

Sądowa licytacyja.

Obrazek z życia ludu wiejskiego,

opowiedziany przez

MAKSYMILIANA ZDULSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Poznał on do razu po twarzach i minach, że tu coś niezwykłego i niedobrego się święci, ale nie ustraszył się, stanął pośrodku izby — i spokojnie popatrzył w oczy blademu i trzęsącemu się od wzruszeń Stanisławowi.

— Pochwalony Jezus Chrystus — rzekł.

Stanisław właśnie co wybuchnąć miał, powitanie to chrześciańskie przytłumiło wybuch.

Po chwili jednak ozwał się Stanisław:

— Jakie żądanie majstra?... czy do mnie? ja — ja nie mam czasu z wami gadać.

— Żądanie moje?... ot! — taż ja żadania niemam — ale chwilkę Stanisławie, czasu zabierać wam nie będę, bo i ja go niemam, ta jakież żądanie? przecie wy mnie nie dłużny — lecz mam...

Przypomnienie długu i długów wznieciło powstrzymany wybuch złości.

— Wam nie dłużny — a komu dłużny? a wam czarci do tego komu ja co dłużny — ja tam do waszej budy po ratunek nie idę — ot dajcie mi pokój święty — idźcie zkądeście przyszli, bo na Pana Boga, gdybym nie zważał na wasze siwe włosy, tobyście gorszym krzywakiem może wylecieli za próg mój, jak dziś jesteście!

I tej groźby nie ulakł się jeszcze słaby stary człowieczek, a spokojnym i pokornym głosem odrzekł:

—Moje siwe włosy? ha! siwe ot! Otóż zważajcie na nich, proszę pięknie was o to, zważcie, że włosy te posiwiały w dłuższem niż wasze, życiu, w długiej a ciężkiej pracy, a jak może najwyższemu Stwórcy kiedyś osądzić się będzie podobało, to i w uczciwości, — ubogi jestem — prawda, budka biedna — i to prawda, ale... ot!

— Co ale? cóż chcecie? — może chcecie uszczęśliwić mnie waszym kochanym synalkiem? O wiem ja, wiem — z was to, z tej nędznej jamy waszej całe moje wyszło nieszczęście. — Wasz to syn włócząc się po świecie, nauczył się zwodzić dziewczęta i zbałamucił mi dziecko, tak, że dziś ludzie stronią od niego i od mojej chaty — wasze to łajdackie gniazdo — moczyskury....

— Darujcie Stanisławie — nie łajdackie, Bóg widzi nie! uspokujcie się — posłuchajcie! mylicie się w jednem i drugiem, — syna mego wam nie narzucam i narzucać nie myślę, — przestrzegałem owszem, groziłem, ale ot! młoda krew, młode serca — wybaczyć trzeba, będę lepiej uważał na syna — a córka wasza ot! poczciwa była i poczciwa została — uczyni po woli boskiej i rodziców — mylicie się mówię i w drugim, bo lepianka moja nędzna prawda, ot! a przecież ja tu przyszedł — przepraszam — niegniewajcie się — słyszałem — ot....

— No cóżeście słyszeli? cóż wam przewierciało uszy? boście do niedawna na słuch uiedomagali — przerwał zapłoniony Stanisław.

— Ludzie noszą po wsi — trudno nie słyszeć — niewierzyłem — ale chciałbym wiedzieć prawdę — ot — bo — nieprzerywajcienobo! — ja tu przyszedłem — jeżeliby miała być prawda— ot! co siła i moc biednego szewca, moczyskury jak mówicie — ot! jednem słowem... ja chciał-

bym (tu odetchnął ciężko biedny szewc) chciałbym... wam... Stanisławie — ot dopomódz! —

— Dopomódz? wy? mnie? a to już ostatni dopust boży, taki... taki... łatacz! cóż? może buty dacie na kredyt?

— Taki... taki... powtórzył Grzegórz — jużciż taki ot! — no — buty — i buty dam ot! ale niebądźcie tak gorący Stanisławie, chciejcież zważyć, od dziecka prawie a bez ustanku pracuję lat kilkadziesiąt! pracował sam, pracowała sama — pomagał syn, więc widzicie żyło się biednie a długo — to ot — chowało się dla syna i na pogrzeb dla nas obojga starych — więcej nic! — no jużci niebieska trumna z guziczkami, świece dla całej gromady być muszą, co sobie człowiek ma żałować — pięknie będzie! he he — ot! — otóż człowiek mówię, szanował pracy — więc ot! jeżeli na to mówiąc uczciwy, grzeczny sąsiad jak wy panie Stanisławie zapotrzebuje przypadkiem — to czemużby nie — ot! —

— Co? — przerwał tu Stanisław.

— Ot choćby tam i na to mówiąc — kilka set...

— Wy? kilkaset?

— Ehę! — odparł krótko i stanowczo Grzegórz.

Stanisław zastanowił się, spojrzał zdziwionem okiem na pokorną, niepokaźną postać starego szewca, a szewc dostrzngł tego i dodał:

— Bo miarkujcieżno Stanisławie — czterdzieści ośm lat ot... a co to człowiek przez ten czas na plecach butów na targi wyniósł, a co nastrugał kołysek, a trumien, a co pieców nastawiał, a co płótna nanizał — miarkujcież — czterdzieści ośm razy lato, czterdzieści ośm razy zima — ludzie dobrzy — nie przepadło nic, a Grzegórz trzymał — niestracił — dziecko a grób tyle ot! — więc rachujcież sami Stanisławie!

Któżby wierzył, że serdeczna ofiara ta poczciwego starca miała tylko ten skutek, iż pobudziła na nowo pychę Stanisława. Odrzekł więc z oburzeniem:

— Bóg zapłać, dziękuję, niechcę,! nieżądam, żadnemu Wiesze jeszcze niepomagali szewcy i ja się tem nie splamię — nie chcę, — nie chcę — nie kuście — abym pierwej miał własną ręką spalić tę chatę, co stanęła na starych zrębach mych ojców — nie przyjmę, pieniądze wasze smołąby mi się przylepiły do duszy — zdrowi bądźcie — żegnam....

Grzegórz nie odchodził — a Stanisław dodał:

— Wiem do czego żmierzacie — z tego nic nie będzie — to nie dla was i nie dla waszego syna — niech swój swego szuka — tam u Szymka kowala na końcu jest też dziewucha... radzę tam... żegnam, niemam czasu....

— Ha no ot! przepraszam — nie gniewajcie się — odrzekł nareszcie Grzegórz i wyszedł zasępiony.

Stanisław usiadł znów na ławie — żonie jego kręciło się trochę w głowie, pojąć niemogła ani ofiary, ani odmowy.

W Marynię tylko jakby nowa dusza wstąpiła, zarumieniła się, oko otwarło się szerzej i błysło; nie wiedziała ona ani przeczuwała, że ubogi Grzegórz może i chce dać komuś nawet kilkaset.

Mglista wprawdzie, ale zabłysła w jej duszy przecież jakaś nadzieja!

Wiosna okryła już zielonością ogrody, pola i łąki — skowronek wyśpiewywał wysoko a radośnie, lud rzucił się do pracy — wszędzie ruch, życie, radość, nadzieja. Malenkie okienko Grzegorza otwarte, a z niego rozchodzą się w dolinie odwieczne jakieś piosenki, przerywane stukiem szewskiego młotka; jest to głos starego szewca i w zawody z nim wyśpiewuje kos i czyżyk w klateczkach uwieszonych pod strzechą. Antoś wyciosuje kawałki drzewa pod ścianą, on jednak — nie spiewa!

Cóż u Stanisława?

Oh! był to dzień dla niego nieszczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Był i on w podwórzu i nibyto coś przyrządzał i naprawiał przy pługu, robota jednak nie szła mu w ład, spoglądał co chwilę z niespokojnością na drogę wiodącą z miasteczka powiatowego.

Wiedział on dobrze i dzień i godzinę, w których tą właśnie drogą miało przybyć w dom jego nieszczęście i wstyd, nędza jedo dziecka, a jednak, jakoby nie dowierzał, że to nieszczęście zapowiedziane, pewne, naprzód oznaczone spełnić się musi, lecz odwrócić się jeszcze może, w jedną ciągle spoglądał stronę.

Nie odwróciło się! Stanisław zadrżał. Tam z poza kościółka w lipowej drodze poruszyło się coś, mignęło, zbliżało się, tu — tu — w tę stronę! a w miarę jak się zbliżało, ustawał mu oddech, biło serce coraz gwałtowniej, głowa wrzała, że aż zimną siekierę przyłożył do gorącej skroni.

Niebawem ukazała się na drodze staroświecka bryczka zaprzężona parą roslemi a zbiedzonemi końmi, dzwonek duży a rozbiity, uwią-

zány u dyszla, dźwięczał jakimś złowrogim tonem, a zwiastował coraz to większe zbliżanie się tego fatalnego zaprzęgu, on to bowiem wiózł ów piorun, który miał uderzyć w strzechę Stanisława, zniszczyć jego byt i dobrą sławę.

Zaprząg ten wyglądał jednak wcale niewinnie.

Na bryczce bowiem siedziały dwie osoby; jedna z nich, mężczyzna już dosyć wiekowy i poważny, miał twarz łagodną, wąs duży, siwy, zwieszony, usta uśmiechnięte, słowem cała postać była więcej miłą jak straszną.

Druga osoba obok była znowu więcej śmieszną jak przerażającą; na szerokiej twarzy mieścił się bowiem krótki a czerwony nos, oczka maleńkie ciekawie mrugały, włos szpakowaty, twarz cała wygolona, a tylko koło uszów odstawało coś nakształt nastrzępionych skrzydełek, co w rzeczy miało przedstawiać faworyty.

Obdarty żydek na koźle także nie mógł dawać powodu do obawy.

Dla czegóż więc Stanisław spostrzegłszy te trzy osoby, upuścił mimowolnie siekierę i stanął jak wryty.

Oto dodać tu muszę, że na dwóch głowach na tej poważnej i na tej zabawnej zabłyszczały dwa kaszkiety osznurkowane i różyczkami żółtemi zaopatrzone.

Jednem słowem był to komisarz sądu powiatowego, a obok woźny sądowy.

Szkapy żydowskie popędzone batem, ruszyły raźniej, skręciły z drogi, — kilka chwil, a cały ten ekwipaż znajdował się już w podwórku Stanisława.

Bo i cóż będziemy wam dłużej ukrywać? panowie ci zjechali na licytacyą sądową, aby sprzedać, kto zechce kupić, grunt dom i ruchomości Stanisława na zaspokojenie pretensyj wekslowych kilku żydów z sąsiedniego miasteczka, którzy wyjednali na ten cel egzekucyę sądową.

Wybiegła matka i córka, dorozumieli się, oniemieli.

W okamgnieniu zapełniło się też całe podwórko, jakby z pod ziemi zjawił się nagle rój cały Izraelitów i zapełnił głośnym szwargotem to ciche przed chwilą ustronie; zbiegli się liczni sąsiedzi i sąsiadki, w podwórku miejsca prawie brakło.

Stanisław czapkę zdjął z głowy i za próg ją rzucił, rękę za kaftan założył, stanął prosto i stał nieruchomy.

— Przyjechaliśmy tu gospodarzu Stanisławie Wiecho na komisję, to jest zaskarżeni jesteście przez kilka stron o długi wekslowe, które to strony, jak o tem wiecie z rezolucyi sądowéj, egzekucyę sądową trzeciego stopnia wyjednały, — może zechcecie dobrowolnie zapłacić lub ugodzić się, lepiejby dla was było — odezwał się łagodnym głosem sędziwy komisarz.

— Chciałbym Panie Wielmożny,—ale nie jestem w stanie — odpowiedział Stanisław.

— Ha no, więc musimy przystąpić do urzędowania.

Tu zwrócił się ku woźnemu:

— Wencliczku, będziemy zaczynać.

Wencliczek w chwili był gotów. Salutował z wojskowa, łapnął się za skrzydełka koło uszów i nastryszył je, sięgnął pod kozioł bryczki i wyciągnął stary roztłuczony bęben, przewiesił na pasie przez piersi, stanął na pniaku, podniósł pałki do góry i zawarczał przeraźliwie na tej złowrogiej maszynie.

To też nietylko rodzina Wiechów, ale cała zgromadzona tam ludność zadrżała, dreszcz im przeszedł po grzbiecie aż gdzieś w pięty; nawet żydkowie do takich scen przyzwyczajeni, cofnęli się w milczeniu ku płotowi.

Zdawało się że trumna z łoskotem zapadła gdzieś w grób głęboki.

— Tak — co pak budeme neni persze licytowat? pane komisarz - zagadnął Wencliczek.

— Cokolwiekbądź, co zresztą wolicie gospodarzu Wiecho, aby pierwej wziąść pod licytacyą? rzekł komisarz.

Wszystko jedno panie — brać co wola — odpowiedział. Stanisław.

Właśnie w pobliżu, wypuszczona w podwórze czarna, łysa, połyskująca krowa, jedyna jaka już niestety w gospodarstwie pozostała, niezważając na groźną chwilę, skubała spokojnie trawę pod brogiem.

Jako przedmiot najwidoczniejszy i najbliższy wpadła więc w oko Wencliczkowi,— podbiegł, ujął za rogi

Wtem nagła i niespodziana zaszła tu protestacya. Oto Stanisławowa, która dotąd niema z przerażenia stała pod ścianą, przyskoczyła jak szalona i niezważając na wysoką postać, osznurowaną czapkę i żółte guziki gorliwego w swej służbie Wencliczka, pchnęła go kułakiem tak silnie w piersi, iż czynny wykonawca sprawiedliwości zatoczył się i omal nie upadł.

— A zasię tobie ty graniczny przywłoko od mojej łysuli, ty mi będziesz brał moje bydlątko, którem ja moją ręką wychowała, które żywi mnie i dziecko moje — a niedoczekanie twoje! — wołała kobieta.

Zgłupiał Wencliczek, bo coś podobnego wydarzyło mu się po pierwszy raz w długolesniej służbie, aby ktoś tak niedostatecznie okazał respektu dla jego urzędowej osoby.

Nie długo jednak wahał się, przyskoczył na nowo, — Stanisławowa stanęła przed krową, odsunąć ją chciał, poczęli się mocować, kobieta krzyczała w niebogłosy, broniła całą siłą, rozpaczliwie swego bydlęcia, aż nareszcie zmęczona, drżąca, z siniałemi usty a osłupiałem okiem padła na ziemię.

Stanisław stał jak posąg, nie ruszył się z miejsca, nie poszedł żonie na pomoc, stał prosto i trzymał głowę nieugiętą, tylko łza — łza jedna, duża jak groch, stanęła mu w oku i stoczyła się powoli na sukmanę.

Przybiegł jednak kto inny. Grzegórz Kopytko który stał dotąd w oddaleniu, zbliżył się.

Wencliczek zmęczony szamotaniem, zdjął urzędową czapeczkę, buchał powietrzem z odętej gęby a z łysego czoła ocierał czerwoną chustką pot, który tam obficie wystąpił; prychał ciągle:

— Zatracena — szelena baba — je to djelo! takowi zpurnost!

— Poczkajcie panie komisarzu — przekładał woźnemu Grzegórz, zwyczajnie kobieta, — włosy długie, rozum krótki ot! — bądźcie łaskawi, weźcie co innego, wszak to wszystko jedno.

Wencliczek prychał jeszcze a pot ocierał. To zapewne było powodem, iż nie spostrzegł że do zdjętej czapeczki wpadł zkądś papier, i że papier ten przedstawiał wartość pięciu guldenów.

Wkrótce jednak i w sam raz jeszcze dostrzegł to zjawisko, zrozumiał natychmiast wszystko i w tejże chwili razem z wilgotną chustką zniknął banknot w długiej kieszeni długiego surduta.

Zwrócił się do przełożonego:

— Co budeme delat? ta za zatrecena mrska baba necha mi oczi witrhnaut z hlawy — będe to heski sarid!

Chociaż tego niebezpieczeństwa, to jest wydarcia oczów, dla Wencliczka już bynajmniej nie było, bo Stanisławowa cucona przez Grzegorza i córkę zaledwie przychodziła do siebie to przecież komisarz uśmiechnąwszy się nieznacznie odrzekł:

— Słusznie Wencliczku, byłoby to i nieładnie i niepotrzebnie — można co innego tymczasem wziąść pod licytacyę.

— Nechcu krowi dat, tak budeme licytowat cely grunt a cely inwentar — zaproponował rozjątrzony nibyto ciągle jeszcze Wencliczek i fukał siągle nosem.

— Czy zgadzacie się, aby grunt wziąść teraz pod licytacyę, — rzekł urzędnik.

— Zgadzam panie — odpowiedział krótko Stanisław.

Tu już na dobre i bez przeszkód rozpoczęła się licytacya. Grunt ten staraniem żydów oszacowany był na tysiąc piećset reńskich, chociaż w istocie trzy razy tyle wartał.

— Grunt numer katastralny dwacet osm, tricet a sedm morg, a piat morg lauku — tysic piat sto renckich — kto da wecy? — wołał Wencliczek.

Przyskoczyli żydkowie. Posypały się głosy.

— I jeden — i dwa reńskie — pięćdziesiąt, tysiąc sześćset — tak szło stopniowo: ośmset — dziewięćset — aż stanęło: dwa tysiące dwieście dwadzieścia pięć.

Iakąś chwilkę tak stało. — Żydzi poczęli szeptać i umawiać się o odstępne, aby zbytecznie w górę ceny nie wynieść, jak to ich zwyczaj.

Wencliczek powtarzał liczbę z dodatkiem: po raz pierwszy — po drugi raz... i spoglądał po głowach.

Cisza do koła.

Ciszę tę przerwało ciekawe zdarzenie.

Od płotu, jakby z pod ziemi, cienki, przytłumiony, drżący odezwał się głos:

— I centów pięćdziesiąt!

Zwróciło się wszystko ku płotowi. Był to głos starego Grzegorza.

Zduwienie żydów i wieśniaków ogólne. — Przyskoczyli żydkowie, obstąpili.

— Co to jest? co? wy? wy Grzegorzu? jak wy? za co wy? wy może kpicie? najjaśniejsza komisja to nie kpiny — może wy słyszeli dwieście? herste? wy durny szewc — to kryminał!..

Grzegórz tymczasem zmieszany cokolwiek tą napaścią, trzymał jedną ręką podkasany fartuch, drugą w bocznej kieszeni coś niemiłosiernie miętosił. Żydom odpowiedzieć nie raczył — a odezwał się głosem już pewniejszym i pewnym po raz wtóry:

I centów pięćdziesiąt!

Woźny wygłosił liczbę powtarzając:

— Kto da więcej?

Żydzi niedowierzali, aby coś stanowczego nastąpić mogło, poskupiali się, szeptali — czekali co z tego będzie.

Tymczasem Wencliszek zerknął w stronę głosu. Czy tam jakiego znaku dostrzegł, czy przypomniała mu się piątka utopiona w urzędo-

wej kieszeni, dosyć że nietracąc czasu, powtórzył:

— Po raz drugi... po drugi... i po... i po... trzeci raz!

Tu pochwycił pałki i przeraźliwiej jeszcze ale z większą jak pierwszą razą fantazyą wydudnił na starym gracie jakby rodzaj jakiegoś marszu tryumfalnego.

Widzowie i uczesnicy nie mieli czasu się opamiętać, bo stary Grzegórz o ile krótsza noga mu dozwalała i oddech wystarczył, biegł do stołu przed komisarza, a jakby się bał spóźnić lub żeby woźny nie odbębnił kupna, odmotał fartuch i począł szybko, gorączkowo, wyrzucać z niego jedne po drugich węzełki i zwitki w papierkach, szmatkach, w starych kaletkach skórzanych, zgarnywał to wszystko w gromadkę, a chociaż sporą już była, dokładał ciągle to z jednej to z drug ej kieszeni, to z za pazuchy — i jakby jeszcze ciągle niepewny był swego, wykręcił się na dłuższej nodze i zawołał:

— Antoś! Antoś! a idźno! a lećno do skrzyneczki — przynieś chałupę! — tfy panie święty! cóż ja płetę! biegnij do chałupy— przynieś skrzyneczkę — tam pod warstatem — pod tkackim — prawa noga — deszczułka — dołek — tam skrzyneczka — biegnij — leć — wracaj!

Antoś pobiegł jak strzała.

Tymczasem komisarz niemniej zdziwiony jak inni, gatunkował, układał, porządkował pieniądze, w papierach, srebrze, nawet kilka sztuk w złocie, a nim Antoş wrócił ze skrzyneczką, okazało się, że suma na stole nietylko była dostateczną, ale że urzędnik sądowy odsunął pewną kwotę na bok, jako zbyteczną.— Wziął ją Grzegórz, wsunął obojętnie w kieszeń skórzaną, rozśmiał się głośno:

— He-he-he!.... ot! — i machnął ręką jakby chciał powiedzieć: ot przecież się raz na coś przydał ten marny grosz!

Nie potrzebuję wam mówić, że żydzi tak niespodziewanym sposobem zawiedzeni w swych niecnych zamiarach, rozum prawie tracili, szwargotali, omal nie pobili się między sobą, ale w końcu musieli odejść z długiemi nosami targając brody i pejsy.

Włościanie i kobiety — wszystkie słowem oczy jakie tam były, zwróciły się na starego ułomnego szewca, jak na dziwo jakie — i długo trwało, nim się uspokoili i nakoniec rozeszli.

Nie będę przedłużał opowiadania, które i tak za długo może już trwało, nie mogę jednak powstrzymać się, aby niepozwolić jeszcze przemówić Grzegorzowi, którego i wy zapewne polubiliście dla jego dobrego serca.

Gdy bowiem wszystko uspokoiło się, wszedł on razem z Stanisławem, żoną jego i córką do ich chaty, uchwycił Stanisława za kolana i począł go przepraszać w te słowa:

— Stanisławie, sąsiedzie, darujcie mi! nie gniewajcie się, że ja wasz grunt, waszą ojcowiznę kupiłem — bo to widzicie ja... cóż ja?... szewc — smoła.... he-hę — ot!

Uśmiechał się a patrzył Stanisławowi w oczy, jakby tam wyczytać chciał, co się dzieje w głębi jego duszy, a gdy Stanisław nie odpopowiadał, mówił dalej:

No — bo to — ot! jakiż ja do gruntu?— a co ja stary osieł wiem w gruncie? — w gruncie szydłem nic nie zrobi! he-hę — no to — posłuchajcież Stanisławie — bo — ja — ja to nie kupił dla siebie — ot¡ — a co mnie kalece po takim kłopocie? ot!...

— Dla kogóż więc — przerwał Stanisław.

— Ha no! ta cóż będę ukrywał — albo grzech czy co? ta ot... dla was Stanisławie! a dla waszej Maryni, czego dziecko ma daremnie łzami psuć oczy? — pytam się czego? ot. — A gdy Stanisław nieodpowiadał, dorzucił prędko: Albo wy to nie potraficie mi oddać czy co? cobyście nie oddali? wszak wy Wiecha z Wiechów! — kończył stary a bił się dumnie pięścią w wychudłą pierś, jakby to on sam był owym sławnym Wiechą.

W końcu dodał zcicha i niby z niechcenia:

— No prawda wyście już także niemłodzi, grunt duży, praca ciężka — gdyby tak kto — ot! — w pracy dopomógł — mój Antoś niepoń— ma czasu dosyć — a chłop jak dąb... ho ho— ot....

Nie będziecie się dziwić, co się dalej stało. Łza — nie jedna już teraz — ale potok łez puścił się z oczu Stanisława; tą razą ocierał on je skrzętnie rękawem i dłonią, a starczyć nie mógł! Szlochał biedny jak dziecko!

Pycha jego, tak srodze ukarana, pokonaną została. Nie zdołał słowa wymówić, choć chciał widocznie — rzucił się więc staremu szewcowi na szyję, a obaj w długim i serdecznym zostawali uścisku!

Marynia nie mogąc się powstrzymać z rozczulenia śród łez i łkania całowała to rękę ojca to suchą dłoń Grzegorza.

Zakończenie łatwo odgadnąć.

Wkrótce potem Antoś w gruncie pomagał, ale jako zięć, jako mąż ukochanej i wiernej a szczęśliwej teraz swojej Marysi.

Wesele rozumie się odbyło się huczne i sute, godne Stanisława Wiechy z Wiechów a — dodajmy tu od siebie, godne — cnotliwego Grzegorza Kopytki, który ty razem został już w izbie i siadł na honorowem miejscu, bo pod obrazem Chrystusa Pana.

Ponieważ w powieści naszej poznaliście także Wincentego Jamroza, więc zapewne ciekawi będziecie co się z nim stało. — Dorzucę więc słów kilka:

Było to w lat parę po weselu Antosia. — Zima strożyła się strasznie, wicher dął śnieżną zamiecią — pusto dokoła choćto w środku wioski. Niedaleko kościołka tylko na prostych saniach leżała uboga trumna z desek zbita, wcale duża, dziad kościelny stary w łachmany otulony, dygocący z zimna, z wielkiem wysileniem przez zaspę śniegowąza pomocą małego chudego konika starał się zsunąć sanie z pagórka na drożynę wiejską. Za trupem nie było żywej duszy!

Z przeciwnej strony również na pagórku pojawiła się przecie jakaś, dziwna trochę postać. Pomimo ładunku na plecach widocznie dosyć ciężkiego, wywijała i machała rękami, a przypadała na jedną nogę.

Dziad i trumna i ta dziwna figurka zetknęły się na drodze.

Poznamy ją łatwo, bo pierwsze jej słowo było: ot! —

A potem:

— A któż tam dziadku tak samotny i w taką złą porę opuszcza tę ziemię świętą? — zapytał Grzegórz, gdyż jak się domyślacie, on to był rzeczywiście.

— Witajcie Grzegorzu — a toż musieliście znać — toż z waszej wsi, Wincenty — jakże tam? Jamroz pono — odrzekł dziad.

— Kto taki? Wincenty! mój Boże! mój sąsiad kochany! i taki opuszczony! oj biedny ty Wincenty!...

Stary pochwycił się za siwą głowę, zapłakał serdecznie i poszedł za trumną powoli na cmentarzyk. Jemu to przypadło posypać ziemi na trumnę nieszczęśliwego Wincentego i pomodlić się na jego grobie.

Dla czego ów groźny Wincenty tak nędznie zakończył życie, wyjaśnię wam jeszcze.

Dziwna rzecz, a przecież taką jest natura ludzka, że groźny Wicek, który Stanisława w nieszczęściu porzucił, rękę córki jego odepchnął, gdy Marynia wyszła za Antosia, jakiś niepojęty żal i ból poczuł w sercu. Marynia, gdy odżyła w szczęściu, była tak piękną i hożą, jak nigdy, ludzie stawali po drodze, by się przypatrzyć ślicznej i wesołej kobiecie. On, Wicek mógł być jej mężem, a dziś był sam, bez przyjaciół, opuszczony w swej obszernej chacie!

Gdy do tego Antoś i Stanisław wzięli się do pracy, a Bóg zesłał lepszy urodzaj, zapełniły się znów szopy i brogi zbożem, a stajnie zaprzęgiem i bydłem, wróciła w dom wesołość, zamożność i szczęście, ba. gdy nawet stary Grzegórz zapewne dla honoru synowej i sławetnej familii Wiechów, zrzucił ubogą płótniankę a przebrał się w sutą siwą kapotę, a po trzydziestu latach sprawił także nowy kaszkiet, — gdy tyle szczęścia mówię ujrzał Wicek, piekło i gryzło go w duszy żalem i wyrzutami. Nie on to wszystko miał, lecz miał szewc-smoła ojciec i szewskie łyko syn!

Otóż uczęszczał coraz gęściej po szynkach, tam spotykał się często z szyderczem słowem lub zdawało mu się tylko, że ktoś szydzi z niego — brał wszystko do serca, a licząc na żylasté swe ramię, grzmocił grubą pięścią w koło gdzie trafił i kogo mógł trafić; bano się go, unikauo, — czeladź gnębiona rozbiegła się, nikt służyć nie chciał, gospodarstwo upadało; lichwiarze. znany Icek na czele pomagali do zguby gorliwie.

Nakoniec ten sam stary przyjechał urzędnik, Wencliczek znowu złowrogo zabębnił! Tą razą nie było ułomnego szewca, któryby dopomógł.

Wicek okryty wstydem, narażony na nędzę, wyniósł się do trzeciej wsi, tam zarabiał siekierą jak mógł, aż nareszcie wysłany przez arendarza po drzewo do dalekiego lasu, spóźnił się śród zawieruchy, — mrok zapadł, zbłądził w polu i śniegu, nędzne ubranie nie zdołało ochronić od srogości zimy. Nieszczęśliwego znaleziono drugiego dnia w polu przy saniach — bez życia.

A oto widzieliśmy i pogrzeb jego.

Grzegórz odprowadziwszy zmarłego do grobu, wracał do swoich — był zasępiony, a chciał ulżyć sobie przykre wrażenie słowami, przemawiał sam do siebie:

— Wicek, szkoda, dobry człowiek był — potulny był — czasem tylko — ot! albo to często? — nie często! kto wie nawet czy bił — no, krew — juzci krew — ale przecie sumienie miał, uczciwy był — a teraz — w obcej wsi! w zimnym grobie! — biedaczysko... ot!

KONIEC.

Na przylot bocianów.

Znowu wracasz nasz bocianie,
Ty nam niesiesz wieść radosną,
Słyszę twoje klekotanie,
Ty powracasz razem z wiosną.
Ty z podróży wracasz przecie,
Nabujałeś się dowoli,
A czy nie wiesz, że ná świecie,
Cierpieć razem, to mniej boli.
Powiedz, powiedz... niewdzięczniku,
Co widziałeś w tamtych stronach,
Czy ci lepiej ty zbytniku,
Tam na obcych gdzieś zagonach?
Czy ci nie żal pól ojczystych
I rodzinnej twojej ziemi,
Jezior, bagien, łąk błotnistych,
Być kochanym między nami?
Długo z nami nie zabawisz,
Jeżeli ci czas pozwoli,
Znów tułaczu nas zostawisz,
Znów nas rzucisz w ciężkiej doli.
Tu pisklęta wychowałeś,
Tu i gniazdo ci usłali —
Czy i o tem zapomniałes
Jak z podróży cię witali?
Ty się lękasz zimy, chłodu,
Czy przykrej, smętnej jesieni?
Wszak nie umrzesz u nas z głodu,
Znów się łąka zazieleni.
A ty żegnasz się z nadzieją
I tułactwa trudy znosisz,
Aż wiatry ciepłe powieją,
Klekotaniem znów się głosisz.
Tam natrafisz góry, skały!
O, wędrowcze zaślepiony....
I nieznośne tam upały,
A ty w obce pędzisz strony!
Ty się w obce kraje spieszysz,
Rzucasz gniazdo, koła, brony,
Ty klekoczesz, ty się cieszysz
O, latawcze ty szalony!...
Nam choć zima członki ściśnie,
Szron posrebrzy, skrzepną wody,
Przecież wiosna znów zabłyśnie
Znikną grudy, śniegi, lody.
Maj cudowny nam zawita,
Osłodzi życia gorycze,
Złote słonko znów zaświta,
I rozchmurzy nam oblicze.

Jasińska.

Jak postępują niektórzy rodzice względem szkoły?

Uważcie tylko sobie kochany sąsiedzie — powiada Tomaszowa — spotykając się ze swoim sąsiadem Janem; co się też już na tym świecie dzieje! Otrzymałam dziś wezwanie, bym się stawiła w urzędzie gminnym, a tamże musiałam odnieść karę pieniężną za to, iż moje dziewczęta do szkoły nie chodzą. Nie wiem co za rozum u takiego nauczyciela, pisać moje dzieci na karę. — To ma niby być uczona osoba, ale sobie też w swojej głowie nie uważy. — Wszak ta mniejsza ma dopiero 8 lat i taką odrobinę mam posyłać do szkoły. A ta druga toć już ma lat 14, wyrosła, nie mogłaby mi już w domu co dopomódz w robocie? zamiast biegać z dziećmi do szkoły i czas marnować?

— Moja kochana Tomaszowo — odpowiada Jan— poszło i mnie nie lepiej, bo musiałem zapłacić karę za chłopca mojego, co nie chodził do szkoły regularnie.— Już teraz chodzi, choć już wyrósł i musi na ławce szkolnej siedzieć. — Dziwnie to idzie na tym świecie, jakby to już rodzicom nie wolno było zrobić z swojem dzieckiem, co im się podoba?

Kochani sąsiedzi Tomaszowa i Janowa! Co się tyczy gniewu na karę, to muszę raz na zawsze wam powiedzieć i wszystkim innym, którzy kary, nietylko szkolnej, ale i innej znieść nie mogą, że nie ma kary, tylko dla tych, którzy na nię zasługują.

Nie czyńcie więc nic takiego, za co kara czeka, a nie będzie wam trzeba ani na nie się gniewać, ani jej ponosić.

Teraz co do szkoły muszę Wam powiedzieć i poprosić, abyście mi powiedzieli, kiedy to wasze dzieci mają chodzić do szkoły i uczyć się? Jak są małe, odrobiny, to za młode; jak nieco odrosną, to za stare do szkoły. Nie pozostaje więc według waszego podziału żadnego czasu do nauki; gdyż w dalszem życiu czekają ich inne obowiązki, a starym wilkiem trudno orać. Gdy dzieci wasze młode lata zmarnują, nic się nie nauczą, zostaną nieukami i nieraz na was będą narzekać gdy dojdą do rozumu i powiedzą: „Gdyby mię matusia i tatuś posyłali do szkoły, umiałbym się na książce pomodlić, i co mówię, napisać.

Wojna z gorzałką.

Do broni, bracia, do broni!
Bij gorzałkę, kto ją zgoni,
Czy w chałupie, czy w stodole,
Wypędź ze wsi, gnaj przez pole:
A bij dobrze, bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.
Niech ta żmija niegodziwa,
Nawet za wsią nie spoczywa,
Niech do piekła znow przepadnie
I tam chyba spocznie na dnie.
Bij więc dobrze, bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.
Raz zostanie wypędzona,
Znowu wraca ta jędzona,
Aby znowu nas zatruwać,
Z reszty mienia nas wyzuwać.
Bij więc dobrze bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.
Toć polewka ta przeklęta,
Wtrąca nas między zwierzęta:
Gdy człowiek jej się napije,
Jak pies szczeka, jak wilk wyje.
Bij jej dobrze bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.
Choć kieliszek jej za wiele,
Już ci w błocie łoże ściele:
Najprzód łazisz na czterakach,
Potem z torbą po żebrakach.

Bij więc dobrze bez litości,
Nieh już więcej tu nie gości.
Pijak, złodziej swej fortuny,
I zabójca dzieci, żony:
Skoro tylko go zobaczą,
Ile wypił, one spłaczą.
Bij więc dobrze bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.
Kaszel rodzi i trzęsienie,
Wszystkich członków wycieńczenie,
Choćby najmocniejsze były,
Gorzałczysko skruszy siły.
Bij więc dobrze bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.
Już z młodzieży starców robi,
I przedwczesny grób sposobi;
Kto się wczas z nią nie rozstanie,
Temu w piekle da mieszkanie.
Bij więc dobrze bez litości,
Niech już więcej tu nie gości.

J. Str.

Co słychać w świecie?

Lwów.— Sejm już 6go został otwarty. Ponieważ w dniu tym było święto ruskie, więc dopiero po nabożeństwie w cerkwi wołoskiej (nabożeństwo w łacińskiej katedrze odbyło się wcześniej bo przed 12), to jest około godziny 1 po południu, zeszli się posłowie do sali sejmowej. Ciekawość posłów i publiczności będącej na galeryach, była wielka, bo każdy chciał widzieć, jak wyglądać będzie nowy marszałek sejmowy hr. Alfred Potocki. — Jakoż o godzinie 1 wszedł i on do sali, a chociaż wąsy miał ogolone, przecież przypomniał sobie, że trzeba się ubrać po polsku, wszedł więc w czarnym kontuszu. Namiestnik go przedstawił Izbie, nowy marszałek przemówił słów kilka powitalnych, wzdychając, że ciężko i trudno nam będzie piastować taki urząd po księciu Sapieże. Jakoż prawdę powiedział, bo ks. Leon to był jakby stworzony na marszałka: wiek poważny, obeznanie się ze sprawami wielkie, znajomość różnych porządków sejmowych i wielka gorliwość w pracy — te były przymioty byłego marszałka, które nie każdy ma. Czuli to wszyscy posłowie, to też po zabawieniu w Izbie godzinki, wszyscy zebrali się w kupkę i poszli do pałacu Sapiehów, ażeby złożyć staremu a choremu księciu Leonowi swoją cześć i podziękować mu za 14-letnią pracę w sejmie.

I bardzo dobrze zrobili, bo przekonali nieprzyjaciół naszych, że kraj ceni zasługi księcia Leona i nie da się uwieść tym brzydkim intrygom, jakie knują przeciw staremu marszałkowi ludzie podbechtani od Niemców-centralistów wiedeńskich. Starali się ci intryganci wmówić w świat, że ks. Leon jest taki lub owaki, że źle prowadził sprawy krajowe, a swoje własne dobrze. Otóż pokazało się, że nie prawda, że kraj temu nie wierzy, a książę złożony chorobą miał tę pociechę, że zawistni intryganci zostali potępieni.

Na drugiem posiedzeniu sejmowem nie wiele co zrobiono, bo zajęto się tylko sprawami przygotowawczemi, jak odczytaniem niektórych pomniejszych sprawozdań i wyborem różnych komisyj.

Wiedeń. Ponieważ dla braku miejsca nie możemy wam dać całego opisu podróży do Włoch, podajemy tymczasem, co następuje:

Cesarz austryacki przybył do Wenecyi d. 5 kwietnia o godzinie 11 min. 6. Na dworcu kolei oczekiwali go król włoski Wiktor Emanuel, książęta domu królewskiego, władze cywilne i wojskowe i kompania 71 pułku piechoty z muzyką i chorągwią. Obaj monarchowie widocznie byli uradowani ze spotkania się ponownego. Wieczorem miasto i stojące w porcie okręty jak najświetniej były illuminowane. Na balkonie rezydencyi ukazali się obaj monarchowie i powitani zostali przez tłumy ludu hucznemi okrzykami.

Poznań. W archidyezezyi Gnieźniejskiej poznańskiej w skutek praw majowych, uwięzionych zostało księży 75, a wypędzonych 28.

Rossya. Dnia 14 b. m. odbył się nakazany popis ludności żydowskiej w całem imperium.— Sądny dzień pomiędzy żydami, a pieniądze wydane na odwrócenie od Izraela straszliwego ciosu, przepadły na wieki. Żydom jakotako upiekało się dotychczas, ale teraz biorą się do nich Moskale na ostro.

Zapiski gospodarskie.

Rzodkiewki świeże można mieć każdej chwili, skoro się użyje następującego sposobu. Nasienie moczy się w letniej wodzie przez jeden lub dwa dni, poczem wsypuje się takowe w jakiekolwiek naczynie i wystawia na słońce. Tu wnet zacznie ono kiełkować, a skoro to nastąpi, zasiej w pudełku napełnionem ziemią dobrą kompostową. Najlepsze do tego pudło 5 cali wysokie dowolnie wielkie. — Siew polewa się codzień letnią wodą, a w 7 do 8 dni już wcale ładne można mieć rzodkiewki. W zimie najlepiej kistę wstawić do sklepu o świeżem, ale nie mroźnem powietrzu. Polewanie letnią wodą i tu codziennie powtarzać się winno.

Nasienie wczesnej okrągławej rzodkiewki. najwięcej do takiej kultury zalecić można.

Przy obcinaniu drzew owocowych głównie uważać należy, aby gałązka ucięta była o ile możności jak najbliżej końcowego oczka naprzeciwko niego i w ukośnym kierunku. Wtedy blizna najłatwiej się zasklepia, a gałąź ile możności prosto, bez guzów i narośli dalej wyrasta, — gdy zaś tniemy o pół cala albo i więcej za oczkiem, blizna nie obrasta, wystająca po za oczko część gałązki usycha, co i dla oka jest niemiłem i drzewu szkodliwem.

— **Ceny zboża.** Pszenica biała polska od 8 do 9·25, podolska od 8 do 9·—, żółta od 7.50 do 8·75, czerwona od 7·65 do 9·25, żyto polskie od 6·— do 6·60, podolskie i rosyjskie od 5·25 do 6.50, jęczmień od 5 do 5·50, groch od 7·25 do 8, owies od 3.70 do 4·, rzepak od 10·50 do 11.

Wydawca S. Jordan.
Redaktor odpowiedzialny *Jan Krawecki.*

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.